



PAWEŁ DALIDOWICZ

Strzelec Paweł Dalidowicz, lat 30, kawaler.

Dnia 2 grudnia 1939 roku, kiedy usiłowania moje przejścia granicy polsko-łotewskiej spełzły na niczym, wróciłem i w pasie granicznym zostałem przyłapany przez sowiecką straż graniczną.

Po spisaniu protokołu zostałem odesłany do Słobódki, gdzie przeprowadzano dochodzenie w związku z nielegalnym przekroczeniem granicy. W Słobódce siedziałem w więzieniu przez miesiąc i siedem dni. W czasie tym byłem dwukrotnie przesłuchiwany. Więzienie to było przerobione z dawnej placówki Korpusu Ochrony Pogranicza. Były tam małe pokoiki, przeznaczone na cele. W celi o wymiarach cztery na pięć na trzy metry siedziało około sześćdziesięciu osób, w warunkach higienicznych przekraczających najprymitywniejsze podstawy. Wszystko było zawszone, brak łaźni, pozbawieni byliśmy możliwości zmiany bielizny. Wikt składał się z herbaty i kromki chleba 100 gramów, na obiad pół litra zupy wodnistej, na kolację pół litra zupy i po kromce chleba 100 gramów.

Ze Słobódki 10 stycznia 1940 roku przewieziony zostałem do więzienia w Głębokiem, gdzie byłem w celi nr 6. Więzienie to przerobione zostało z byłego klasztoru. Cella, w której siedziałem, była dość obszerna, okna były zamurowane. Siedziało nas w niej dwudziestu – trzydziestu więźniów. Uwięzieni składali się z różnych narodowości, a głównym przestępstwem im zarzucanym była chęć przekroczenia granicy.

W Głębokiem siedziałem do 18 sierpnia 1940 roku. W czasie pobytu byłem dwa razy przesłuchany. Nie było w ogóle kąpeli, więźniowie byli zawszeni, bielizny nie zmieniano. Dopiero po upływie dwóch miesięcy pierwszy raz wyprowadzono nas do kąpeli, a odzież oddano do dezynfekcji. Efekt dezynfekcji był taki, że odzież została po większej części spalona, tym samym pozbawieni zostaliśmy jedynej bielizny, a częściowo i odzieży

[wierzchniej]. Pożywienie obejmowało na śniadanie 600 gramów chleba i herbatę, na obiad zupa w miseczkach oraz kolacja złożona z zupy wodnistej. Cele nie były wietrzone, spało się na podłodze, bez sienników i koców.

Lekarz w więzieniu urzędował. Były dwa wypadki samobójstwa, lecz nazwisk nie pamiętam. Nie było żadnej możliwości porozumienia się z rodziną.

Z początkiem sierpnia wyzwano niektórych więźniów, między innymi i mnie, i odczytano mi wyrok, wedle którego skazany zostałem na pięć lat *trudowych łagrów*.

W dwa tygodnie później wywieziono mnie oraz czterystu więźniów do Archangielska. Podróż trwała około 28 – 30 dni. Na stacji w Głębokiem załadowano nas do wagonów towarowych średniej pojemności (18 ton) po 45 – 50 osób w jednym wagonie. Wagony zostały następnie zamknięte. W Orszy zostaliśmy przeładowani do większych wagonów, jednak liczba osób została powiększona do około osiemdziesięciu. W czasie podróży były dni, w których nie dostaliśmy pożywienia, a zazwyczaj pożywienie obejmowało bochenek chleba o wadze 1,8 kg na sześć osób i rybki zwanej „komsa” o wadze do 200 gramów. Czasem na większej stacji dostaliśmy na jeden wagon wiadro wody. Potrzeby higieniczne załatwiano się w wagonie.

Z początkiem września 1940 przyjechaliśmy do Archangielska. Tam ulokowano nas w punkcie zbornym, gdzie wybudowane były baraki z desek. W baraku takim umieszczono około 300 – 350 osób. Nie było tam żadnej pracy, gdyż wyczekiwaliśmy wyjazdu na północ. Pożywienie było już tutaj lepsze, ponieważ dawali trzy razy dziennie, a mianowicie na śniadanie herbatę, 400 gramów chleba, na obiad zupa, kasza, a czasem i ryba, na kolację zaś zupa. W punkcie zbornym było około cztery do pięciu tysięcy ludzi. Kąpiel była co dwa tygodnie, zmiany bielizny nie było, mydła nie otrzymywaliśmy, tak iż bielizny nie można było wyprać ani umyć się. Dużo było wypadków śmierci, wiele też osób postradało zmysły.

W Archangielsku załadowano nas na okręt towarowy i rozmieszczono w dawnych kabinach. Jechaliśmy cztery doby, po czym wyładowano nas na Nanarmance, tam przenocowaliśmy, po czym załadowano nas na statek rzeczny i popłynęliśmy rzeką dalej w stronę północną. Podróż ta trwała pięć dni, aż wyładowano nas w miejscowości Użnawen.

Był tam już łagier więźniów, którzy stale byli zajęci pracą. W łagrze wybudowano wielkie namioty, w których były podwójne prycze, a mieszkało w nich po czterysta osób. W łagrze tym było około dwa tysiące osób, znanych obywateli polskich narodowości polskiej.

Podzielono nas na brygady. W każdej pracowało około dwudziestu ludzi. U mnie brygadierem był Rosjanin. Współzycie było przykładne.

Pracowałem na przystani przy wyładowywaniu podkładów kolejowych i szyn, więźniowie pracowali również w pobliskich łagierach przy ścinaniu drzewa. Czas pracy trwał od zmroku do zmroku z godzinną przerwą. Jeść otrzymywaliśmy dwa razy dziennie, a mianowicie na śniadanie zupę i kaszę, a na kolację również zupę i kaszę oraz chleb. Ilość i jakość potrawy zależały od ilości wykonanej pracy, gdyż obowiązywał regulamin ustalający normę. Jeżeli więzień nie wykonał wyznaczonej normy, wówczas otrzymywał na śniadanie zupę grochową lub pszenną wodnistą, bez tłuszczu, a na kolację zupę jak rano i około 400 – 450 gramów chleba. Jeżeli zaś wyrobił normę wynoszącą przynajmniej 120 proc., wówczas otrzymywał 900 gramów chleba dziennie oraz zupę i kaszę, a czasem rybę. Praca musiała być wykonana przynajmniej w 100 proc., żeby otrzymać pożywienie, które by przynajmniej w części zaspokoilo głód. Odzieży nie otrzymywało się i pracowało się w swojej zdartej. Większość chodziła bez obuwia, mając nogi okręcone szmatami. Wynagrodzenie otrzymywali tylko ci, którzy wykonali 120 proc. normy, oni pobierali osiem – dziesięć rubli na miesiąc. Papierosów ani machorki więźniowie nie otrzymywali. Przychodnia lekarska była, jednakże zwolnienie od pracy trudno było uzyskać.

Po dwu miesiącach wyjechaliśmy z tego obozu o jakieś osiemnaście kilometrów i tam umieszczono nas w ziemiankach. Do jednej dali około dwudziestu ludzi. Zadaniem [naszym] tu było oczyszczenie drogi ze śniegu na przestrzeni ośmiu kilometrów długości i dziewięciu metrów szerokości. W każdej grupie ustaliliśmy kucharza. Żywność składała się z grochu, kaszy, ryby, a czasami było mięso i chleb. W marcu 1941 roku przeniesiony zostałem do łagru Wieszkuria i tam przebywałem do 26 maja 1941 roku. Pracą było oczyszczanie z lodu barek i zaciąganie ich do przystani, a następnie ładowanie tychże barek i statków. Z Wieszkurii wyjechaliśmy do łagru Aszurek. Było tam około czterech baraków. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że podczas zimy mieszkało tu przeszło pięciuset więźniów, wszyscy powymierali na skutek głodu i chorób. Trupy powyrzucane były w śnieg i dopiero podczas roztopów zbieraliśmy je i zakopywaliśmy po kilkunastu w jednym dole. Z całej tej osady zostało przy życiu tylko dwu więźniów, którzy pracowali w łaźni, a potem wyjechali wcześniej, w ten sposób unikając śmierci. Tam byliśmy od 30 maja do 2 września 1941, w którym to dniu wyjechaliśmy do Peczory, gdzie dostaliśmy *udostowierienija* i transportem wyjechaliśmy do Kotłasu, a po kilkutygodniowej wędrówce zgłosiłem się 3 lutego 1942 roku do Wojska Polskiego w Ługowoj.